

Dzwonnik Ole

Na świecie wszystko idzie raz w górę, raz w dół, to w dół, to znów w górę! Mnie już wyżej się nie wzniesć! – mawiał dzwonnik Ole. – W górę – w dół, w dół – w górę, tego każdy musi doświadczyć! Na końcu zaś wszyscy my, w istocie, stajemy się dzwonnikami – patrzymy na życie i rzeczy z góry na dół.

Tak mawiał mój przyjaciel Ole, dzwonnik, wesoły, gadatliwy starzec. Zdawało się, że co ma na myśli, to i na języku, lecz wiele też taił w duszy. Pochodził z dobrego rodu; plotkowano, że jest synem ważnego urzędnika albo mógłby nim być; otrzymał wykształcenie, był pomocnikiem nauczyciela, potem pomocnikiem zakrystiana, ale nic z tego nie wyszło! Ole mieszkał u zakrystiana na całym utrzymaniu, a był wówczas jeszcze młody i lubił, jak to się mówi, popisować się; no więc wymagał dla swoich butów błyszczącej pasty, a zakrystian dawał mu tylko zwykłą smarowidło, dlatego też nie mogli się dogadać. Jeden mówił o skąpstwie, drugi o próżności; pasta stała się czarną przyczyną ich sporu i rozstali się. Lecz wymagania Ole pozostały te same: od całego świata żądał błyszczącej pasty, a otrzymywał zawsze tylko zwykłe smarowidło; oto więc odszedł od ludzi, został pustelnikiem. Ale pustelniczą celę, i to jeszcze z kawałkiem chleba, można znaleźć w dużym mieście jedynie na dzwonnicy. Tam właśnie zawędrował Ole i przechadzał się samotniutki po wieży, popalając swoją fajeczkę. Patrzył w dół, patrzył i w górę, opowiadał o tym, co widział, a czego nie widział, co przeczytał w książkach i co nosił w swojej duszy. Często zaopatrywałem go w książki, i to tylko dobre: powiedz, z kim przestajesz, a powiem ci, kim jesteś! Ole nie lubił pouczających angielskich powieści, nie lubił także francuskich, zrobionych z wiatru i łodyg rodzynek. Prosił mnie o opisy życia ludzi i cudów natury. Odwiedzałem Ole przynajmniej raz w roku, zazwyczaj zaraz po Nowym Roku: w tym czasie mój przyjaciel zawsze miał o czym rozmawiać, zawsze miał w zapasie coś takiego, co wiązało się ze zmianą roku.

Opowiem tutaj o dwóch odwiedzinach, starając się, o ile to możliwe, trzymać własnych słów Ole.

Odwiedziny pierwsze

Wśród książek, które ostatnio dałem Ole, była jedna o głazach narzutowych; ta szczególnie mu się spodobała.

– Oto czyj jubileusz należy obchodzić – jubileusz głazów narzutowych! – powiedział mi Ole. – A ludzie przechodzą obok nich, nawet ich nie zauważając. Sam tak robiłem, spacerując po polu i brzegu, gdzie leżą ich setki. Na brukowej

nawierzchni te pozostałości siwej staroświata są obojętnie deptane nogami! I ja tak robiłem! Lecz teraz patrzę na każdy kamień bruku z głębokim szacunkiem! Dziękuję za tę książkę! Owładnęła moją uwagą, uwolniła mnie od starych przesądów i nawyków oraz wzbudziła pragnienie przeczytania większej liczby takich książek. Powieść ziemi jest przecież ciekawsza od wszystkich powieści! Szkoda tylko, że nie można przeczytać jej pierwszych rozdziałów: napisane są w języku, którego się nie nauczyliśmy; trzeba czytać według warstw, krzemionkowych płyt różnych okresów ziemskich, a postaci działające, Adam i Ewa, pojawiają się dopiero w szóstym rozdziale. Niektórym czytelnikom takie pojawienie się wydaje się nieco spóźnione: chcą żywych postaci już na samym początku ziemskiej powieści, no a mnie – wszystko jedno. Tak, oto powieść o treści bajkowej i wszyscy jesteśmy w niej przedstawieni! Mieliśmy się, krzątamy, pełzamy i – wciąż ani rusz, a kula obraca sobie i obraca, nie wylewając na nas oceanu. Skorupa, po której chodzimy, jest twarda, więc nie zapadamy się, i oto powieść ciągnie się miliony lat, a ciąg dalszy jeszcze przed nami. Dziękuję za książkę o głazach narzutowych! Oto dzielni mężowie! Gdyby umieli mówić, opowiedzieliby koe-co! Prawda, zabawne tak, siedząc tutaj, na wieży, stać się zerem, wspominając, że wszyscy my, z całą naszą błyszczącą pastą, orderami, ruchem naprzód, jesteśmy tylko chwilowymi mrówkami na ziemskim kopcu! Tak, czuje się takim mleczkiem w porównaniu z tymi milionletnimi głazami, że aż niewygodnie się robi. Czytałem książkę właśnie pod Nowy Rok i tak się w nią zagłębiłem, że zapomniałem sprawić sobie zwykłą przyjemność – popatrzeć, jak «pędzi na Amager dzikaorda». Tak, wy zapewne o tym nie wiecie!

O locie więdźm na sabat wiedzą wszyscy; odbywa się to w noc świętojańską i zlatują się one na górę Brocken. Ale u nas bywa swój, tubylczy i współczesny, sabat na Amagerze w noc sylwestrową. Wszyscy źli poeci i poetki, muzycy, dziennikarze i inne nic niewarte wielkości artystyczne pędzą w noc sylwestrową przez powietrze na Amager; lecą oni dosiadając pędzelków lub gęsich piór – stalowe nie nadają się: zbyt twarde, nie gną się. Ja, jak powiedziano, oglądałem podróż dzikiej ordy każdego roku i wielu z podróżujących mógłbym wam wymienić z imienia – tylko nie warto się wiązać! Śmiertelnie nie chcą, by ludzie wiedzieli o ich corocznej nocnej podróży, dosiadając piór, na Amager, lecz mam jedną daleką krewną, handlarkę ryb i dostawczynię obraźliwych słów do trzech szanowanych gazet, jak sama mówi, – i ona raz była obecna na takim sabacie jako gość. Przywieziono ją tam, ponieważ sama nie trzyma w ręku pióra i nie umie jeździć konno. Otóż ona mi wszystko opowiedziała. Połowa jej opowieści to kłamstwo, ale i drugiej połowy wystarczy. Święto rozpoczęło się pieśniami; każdy z gości napisał swoją i śpiewał swoją – była przecież najlepsza ze wszystkich! A zresztą czy to nie wszystko jedno? Wszyscy śpiewali na jeden ton! Następnie «pracownicy języka» maszerowali małymi

grupkami. Byli tu i dzwonarze, co dzwonią po domach, i mali bębniarze, co bębnią w rodzinach. Potem ci, którzy potrzebowali, zapoznali się z pisakami, co wypuszczają swoje artykułki bez podpisu – żeby smarowidło mogło uchodzić za błyszczącą pastę! Wśród nich był kat i jego pomocnik; pomocnik właśnie był najbardziej cięty w słowie – inaczej nie zwrócono by na niego uwagi! Był tu i śmieciarz, który wysypywał ze skrzyni śmieci, powtarzając: «Dobrze, bardzo dobrze, znakomicie dobrze!» W samym szczycie «wesela» ze śmietnika wyrósł łodyga, drzewo, potworny kwiat, ogromny grzyb, cały dach; to była «choinka» uczciwego zgromadzenia; wisiało na niej wszystko, co przez miniony rok dali światu. Sypały się z niej iskry, jakby latające ogniki fruwały; były to zapożyczone myśli i pożyczane idee, z których korzystali uczestnicy wesela; teraz uwolniły się i wleciały w powietrze jak fajerwerki. Rozpoczęła się gra w «płonie sznur»; poeci zaś grali w «płonie serce», gaduły sypały dowcipami – inaczej nie potrafią, – a dowcipy grzmiały, jakby rozbijały się o drzwi puste garnki albo garnki z popiołem. Strasznie wesoło było – według słów mej krewnej! Właściwie rzecz biorąc, wysypała jeszcze z trzy korby złych, lecz dowcipnych uwag, lecz nie będę ich powtarzała: trzeba być dobrymi ludźmi, a nie krytykami. Teraz zrozumiecie, że ja, wiedząc o takim święcie, nie przepuszczam okazji, by co roku, w noc sylwestrową, popatrzeć, jak pędzi dzika orda. Czasem zdarza mi się zauważyć brak niektórych zeszłorocznych podróżników, zato zazwyczaj przybywa też kilku nowych. Tegoroczny spektakl jednak przeoczyłem, tocząc się razem z głazami przez miliony lat. Widziałem, jak odrywały się od skał północy, staczały w dół, płynęły na kra lodowych dawno przed zbudowaniem Noego ковчега, wpadały do wody, zanurzały się na dno i ponownie wynosiły na powierzchnię wraz z piaszczystą mielizną, która mówiła: «Tutaj będzie Zelandia!» Widziałem, jak te kamienie służyły za siedziby nieznanym nam gatunkom ptaków, za trony dla wodzów dzikich hord, których imion również nie znamy; widziałem wreszcie, jak na niektórych z kamieni wyrzeźbiono toporem runiczne znaki. Tym kamieniom przydzielono zatem miejsce w rachubie czasu, natomiast ja całkowicie straciłem wszelkie wyobrażenie o czasie, zamieniłem się w zero... W tym czasie z nieba spadły trzy-cztery przepiękne gwiazdki i moje myśli przyjęły inny obrót. Wiecie, czym są spadające gwiazdy? Uczeni przecież tego nie wiedzą! Ja patrzę na nie po swojemu.

Jak często ludzie посылают tajemne, nieme dzięki człowiekowi, który dokonał czegoś pięknego, dobrego; podziękowanie to jest bezgłośnie, lecz nie idzie na marne. Moim zdaniem to milczące, tajne dzięki chwył promień słoneczny, który następnie składa je na głowie dobroczyńcy. Jeśli zaś zdarzy się, że cały naród wysyła takie dzięki

dawno zmarłemu dobroczyńcy, z nieba spada na jego grób jasny bukiet – gwiazdka. I sprawia mi prawdziwą przyjemność odgadywanie, zwłaszcza w noc sylwestrową,

komu przeznaczony jest ten wdzięczny bukiet. Ostatnim razem gwiazda spadła na południowo-zachodnie wybrzeże; było to podziękowanie dla wielu, wielu ludzi! Dla kogo właściwie? Moim zdaniem gwiazda zapewne spadła na strome brzegi zatoki Flensburskiej, gdzie nad grobami Schleppegrella, Læssøe (duńscy oficerowie, którzy zginęli bohaterską śmiercią w pierwszej wojnie duńsko-pruskiej (1848-1850) – Przyp. tłum.) i ich towarzyszy powiewa Danebrog. Potem raz widziałem, jak gwiazda stoczyła się w samo centrum kraju – do Sorø, na grób Holberga. Było to podziękowanie od wielu czytelników jego cudownych komedii!

I cóż za wielka, radosna myśl – świadomość, że na twój grób stoczy się taka gwiazdka!... Na mój nie spadnie ani jedna, żaden promień słońca nie przyniesie mi podziękowania – nie ma za co! Nie udało mi się zdobyć błyszczącej pasty; moim losem jest zadowolenie się zwykłym smarem.

Wizyta druga

Pierwszego dnia Nowego Roku wspiąłem się na dzwonnice, a Ole zaczął mówić o toastach, które wypija się z okazji przejścia od starego „kręcenia się w kółko” – tak nazwał rok – do nowego. Wtedy usłyszałem od niego historię o kielichach, a była w niej niezła myśl.

– Ledwo zegar w noc sylwestrową wybije dwunastą, ludzie wstają z miejsc z pełnymi kielichami w dłoniach i piją za zdrowie Nowego Roku. Rok zaczyna się z kielichami w ręku – niezły początek dla pijaków! Zaczyna się rok tym, że kładzie się spać – dobry początek dla leniwych! I sen, i kielichy rzeczywiście odgrywają w ciągu roku niemałą rolę! A czy wiecie, co jest w kielichach? – zapytał mnie Ole. – Jest w nich zdrowie, radość i wesołość! Ale są w nich także nieszczęście i największe katastrofy! Mówiąc o kielichach, mam oczywiście na myśli stopnie upojenia.

Oto pierwszy kielich, kielich zdrowia! Rośnie w nim kwiat zdrowia; posadź go w swoim domu – a pod koniec roku będziesz siedział w altanie zdrowia!

Weźmiesz drugi kielich – wylatuje z niego ptaszek; niewinnie i radośnie щебече; człowiek wsłuchuje się i mimowolnie mu wtóruje: „Życie jest piękne! Nie należy zwieszać nosa! Śmiało naprzód!”.

Z trzeciego kielicha wylatuje małe skrzydlate stworzenie; nie można go nazwać aniołkiem – należy do rodzaju domowych duchów, lecz nie drwi, tylko żartuje. Przyłgnie do ludzkiego ucha i zacznie szeptać zabawne zmyślenia, ułoży się przy jego sercu i tak je ogrzeje, że człowiekowi chce się figlować i dowcipkować, i rzeczywiście staje się dowcipnisiem w oczach innych takich samych dowcipnisiów.

W czwartym kielichu nie ma ani kwiatu, ani ptaszka, ani skrzydlatego psotnika; jest w nim linia kreślona przez rozum, której nigdy nie należy przekraczać.

Jeśli же weźmiesz piąty kielich, zapłaczesz nad samym sobą, wzruszysz się lub, przeciwnie, zrobisz hałas: z kielicha wyskoczy z trzaskiem książę Karnawał, niepowściągliwy w słowach, szalony!... Porwie cię, zapomnisz o swojej godności – jeśli ją masz! Zapomnisz o wielu rzeczach, więcej niż możesz i śmiesz. Taniec, śpiew, dzwonienie kielichów!... Maski porywają cię w szalony wir... Przed tobą córki szatana w gazie i jedwabiu, z rozpuszczonymi włosami, smukłe, piękne... Oderwij się od nich, jeśli potrafisz!

Szósty kielich!... Siedzi w nim już sam szatan, pięknie ubrany, wymowny, pociągający, niezwykle miły człowieczek! Doskonale cię rozumie, uważa, że zawsze i we wszystkim masz rację, jest twoim drugim „ja”; pojawia się z latarnią, aby odprowadzić cię do domu. Tak, w jednej starej legendzie opowiada się o świętym, który musiał wybrać jeden z siedmiu grzechów głównych i wybrał, jak mu się wydawało, najmniejszy – pijaństwo, lecz dzięki niemu wpadł we wszystkie pozostałe. W szóstym kielichu znajduje się krew szatana zmieszana z ludzką. Wystarczy go wypić – wszystkie złe nasiona, które kryją się w twojej duszy, wypuszczą pędy i każde rozrośnie się, niczym ewangeliczne ziarno gorczycy, w całe drzewo, które może pokryć swoim cieniem cały świat. Większości ludzi pozostaje po tym tylko udać się na przetopienie!

Oto wam historia kielichów! – zakończył Ole. – Można ją podawać z sosem zarówno z błyszczącej pasty, jak i ze zwykłego smaru. Ja podaję ją z obydwoma.

Była to moja druga wizyta u Olego; jeśli zechcesz posłuchać jeszcze, trzeba będzie kontynuować odwiedziny (Siedem lat później (1868 r.) autor napisał takie продолжение pod tytułem „Dzień przeprowadzki”; bajka ta zostanie umieszczona w „Zbiorze” na właściwym miejscu. – Przyp. tłum.).